

Wobec zuchwalstwa dziewczyny, umilkłem i poszedłem dalej. W dwie godziny później byłem już w drodze do Londynu.

Rozdział IX.

Pociąg zdążający na odejście parowca miał odchodzić za dziesięć minut, a peron na stacji Victoria w Londynie przedstawiał taki obraz ożywienia i ruchliwego zamętu, jak codziennie o dziewiątej w o-wych czasach. Pogoda była okropna. Mrzyło cały dzień, a teraz deszcz lał strumieniami, pędzony podmuchami wschodniej wichury. To też mniej było pasażerów, niż zwykle, a ci, którzy zdecydowali się ryzykować przeprawę przez Kanał, fraszobliwie kręcili się wśród stosów bagaży w chwiejnym świetle lamp gazowych. W chwili, gdy nadawał wyjątkowo naładowany i ciężki kuferek do Paryża, młoda kobieta tuż koło mnie wsunęła głowę w okienko ekspedycji.

— Pan Foster... jeśli się nie mylę? Moja do-
rożka jechała tuż za pańską i już na peronie chcia-
łam się z panem przywitać. Ale pan
mnie nie widział.

Te słowa lekko, swobodnie wyrzu-
ciły czerwone usteczka z poza białej
gazowej woalki.

— Miss Deschamps! — zawołałem.

— Bardzo szczęśliwie, że pan mo-
je imię pamięta! Zawsze taki sam
ładny i dumny, jak widzę! Nie wi-
działam pana od owego przyjęcia u
Sullivanów. Czemu to pan nie zaszedł
do mnie którejś niedzieli? Przecież
pana zapraszałam!

— Czy istotnie zaprosiła mnie pani?

— No przecież!... Jadę do Pary-
ża... i to w taką pogodę!

— I ja też!

— To jedźmy razem, dobrze?

— Z największą przyjemnością.
Ale dlaczegoż pani obrała taką noc,
jak ta dzisiejsza?

— Ja nie wybierałam. Widzi pan,
ja jutro zaczynam seryę czternastu
występów w *Casino de Paris* i mu-
szę być tam. Aniby pan nie uwierzył,
ile oni mi płacą... Truppa Diany od-
bywa *tournee* po prowincji, przez
czas, gdy teatr odnawiają. Ja bo nie
cierpię prowincji i miast prowincyo-
nalnych. To też moja przyrodnia sio-
stra Karlotta, pan wie... wyrobiła to,
że mnie zaangażowano do Paryża.
Będę mieszkała z nią razem. Czy pan
zna Karlottę?

— Nie, dotychczas nie znam jej.

— No, Karlotta, to Karlotta.
Straszna blagierka i ma w sobie coś
dzikiego. Zawsze się kłócimy, ile razy
się widzimy... nie często zresztą. Ona
chciałaby przewodzić nademną, jako
starsza, a ja na to nie pozwalałam.
Choć jest starsza odemnie, wiele star-
sza, pan wie. Ale to najgorsze, że
ona jest tak strasznie tajemnicza.
Nigdy nie można wiedzieć, co ona
knuje. Ot, mówił mi ktoś, że widział
Karlottę w Londynie. Ale ja temu
nie wierzę, bo ona mnie przecież
oczekuje w Paryżu; teraz jesteśmy w najlepszej
przyjaźni i zająłaby do mnie z pewnością, gdyby
była w Londynie.

— Naturalnie — odpowiedziałem, pytając się
w duchu, czy też od Marie Deschamps zdobędę jak-
kie wiadomości, przydatne dla Rozy.

Nareszcie gwiazda teatru Diana zdążyła poze-
gnąć jakiegoś pana, który ją odprowadzał i uspo-
koić się co do swoich kufrow. Na zegarze docho-
dziła dziewiąta, a posługacz wpakował nas, Maryę
i mnie, do pustego przedziału mieszanego wozu tuż
za lokomotywą. Był to przedział pierwszej klasy,
ale należał do starego typu wagonów. Marya wy-
rażała głośno krytyczne uwagi, a wiatr wył, wprost
wył wśród zabudowań stacji.

— Wolalabym nie jechać — rzekła smutno —
będę strasznie chorowała w czasie przeprawy przez
kanał.

— Należy się spodziewać — odpowiedziałem,
przekomarzając się z nią i otworzyłem gazetę. —
Podobno parowiec poranny, idący z Calais, nie mógł
dobić ani do Dover ani do Folkeston i musiał
wrócić do Calais. Niech pani sobie wyobrazi, jak
tam przyjemnie musiało być pasażerom!

— Och!... Ale panie Foster, co to za pudło
przy pańskim boku?

— To kaseta z biżuteryami.

— Taka ogromna?

Nie ukrywała chęci zajrzenia do środka, ale ja
zrećźnie rozmowę skierowałem na inny temat. Ła-
dna dziewczyna nadąsała się i poprosiła mnie o ga-
zetę. Głośno odczytywała realistyczne opisy pogody
i mało obiecujące przepowiednie sprawozdawcy. Na-
głe zerwała się.

— Nie, ja nie pojadę!

— Nie pojedzie pani?

— Nie! Znadto jest źle. Przestraszają mnie te
sprawozdania w gazecie.

— A cóż *Casino de Paris*?

— Pokażę im figę! Trudno, niech na mnie cze-
kają. Spróbuję jutro znowu. Drogi panie Foster,
niech pan powie konduktorowi, żeby wy dostał te
moje pudła, a ja pójdę poszukać mojej służącej.

Pociąg już o pięć minut spóźnił się z odejściem,
z jej powodu spóźnił się o drugie pięć, ale ona by-
ła z tego rada. Na moją głowę za to spadły ma-
rudzenia posługaczy i konduktora. W nagrodę ob-
darzyła mnie pięknym uśmiechem.



List nosił datę tę samą, co testament Alreski.

— Do widzenia panie Foster! Strzeż pan do-
brze swojej cennej kasety z biżuteryami!

Nosiłem tę kasę przy sobie, chodząc tam i na-
powrót po peronie. Teraz bez tchu prawie wsko-
czyłem do mego przedziału, gdyż pociąg już gwiz-
dął.

— Szczęśliwej drogi! — zawołała ku mnie, po-
wiewając chusteczką, mała czarodziejka. Pogodne to
było i miłe stworzenie i to spotkanie z nią rozwe-
seliło mnie trochę.

Zatrzasnąwszy drzwiczki wagonu i oderwawszy
oczy od okna, z uśmiechem zadowolenia zasiadłem
w moim kąci, lecz w tej chwili ze zdziwie-
niem zauważyłem, że kąt naprzeciw mnie był za-
jęty. Podczas gdy ja kręciłem się po peronie w u-
sługach Marie, drugi pasażer wsiadł tu tymczasem,
a tym pasażerem był ów tajemniczy i ponury je-
gomość, którego dwa razy przedtem spotkałem raz
na Oxford-Street, a raz w katedrze w Bruges,
podczas mojego nocnego czuwania. Musiał się wi-
docznie nagle zdecydować jechać, gdyż pomimo złej
pogody, nie miał na sobie ani płaszcza ani para-
sola, tylko tuzurek i cylinder miejski.

W miarę, jak zastraszonymi oczyma patrzyłem
w twarz tej dziwnej, wyniosłej osobistości, gościł
mój wesoły nastrój, jak zapałka na wietrze. Za-

częło mnie gnębić niemiłe poczucie, że chwytą mnie
i osnuwa się dokoła mnie sieć nieprzyjaznych oko-
liczności, że jestem nieświadomą ofiarą jakiegoś po-
tajemnego, strasznego spisku, który niechybnie do-
prowadzić mnie musi do zguby. Podobne uczucie
ogarniało mnie za każdym poprzednim spotkaniem
z tą jakąś złośliwą osobistością, w mniejszym jed-
nakże stopniu, i prędko umiałem się z tego otrzą-
snąć. Teraz przygniotło mnie to i opanowało. Po-
ciąg hucząc, leciał, a ja w duchu skarżyłem się na
jego powolność. Pragnąłem już być u kresu po-
dróży, daleko od tego nieruchomego, nieprzeniknio-
nego towarzysza drogi. Wzrok jego nie schodził
z mojej twarzy, a ja czułem się nieswój, coraz bar-
dziej nieswój... Starłem się czytać gazetę, udawa-
łem, że śpię, zacząłem coś nucić, gwizdać nareszcie.
Za nic jednak nie mogłem zimnej krwi odzyskać.
Najgorsze jednak, że on musiał widzieć niepokój
mój i moje zakłopotanie; świadczył o tem szyderski
wciąż jego uśmiech.

Nareszcie poczułem, że coś musi się stać. W ka-
żdym razie trzeba koniecznie przerwać milczenie
tego człowieka. To też zebrałem się
na odwagę i starając uśmiechnąć się
uprzejmie, zauważyłem:

— Obrzydliwe dziś powietrze.

Niktby się tego nie spodziewał, tak
wczesnie we wrześniu!

Niemądra to była uwaga, taka
pospolita, tuzinkowa. Siedzący naprze-
ciw zignorował ją zupełnie. Tylko
kąciki ust wykrzywiły się jeszcze bar-
dziej, wyrazem wzgardy i nienawiści.

To mnie trochę rozgniewało.

— Czy to ja pana widziałem nie-
dawno w katedrze, w Bruges? —
zapytałem krótko, szorstko prawie.

Roześmiał się. A ten śmiech do-
prawdy przeraził mnie.

Pociąg zatrzymał się w tej chwili
na jakiejś stacji. Zawahałem się, idąc
za wewnętrznym przymusem, wybie-
głem z przedziału i umieściłem się w
innym, dalej ku tyłowi. Ten prze-
dział był próżny. Ogarnęło mnie ko-
jące uczucie ulgi. Umieściwszy szka-
tułkę na kolanach, odetchnąłem zno-
wu swobodnie, myśląc, że zwaryo-
wałbym chyba, gdybym kwadrans
dłużej znosić musiał obecność tego
wstrętnego człowieka. Tu zacząłem
rozmyślać o Rozecie Rozie. Na po-
ciechę po nieznośnym towarzystwie
owej milczącej osobistości, wywoła-
łem z zakątków duszy drzemające tam
marzenia i rojenia o niej. Zaczynałem
bowiem kochać Rozę... nie, właściwie
ja ją już kochałem...

Od chwili pierwszego jej pozna-
nia obraz jej pokutował w moich my-
ślach. Przez dłuższy okres czasu, gło-
wnie dla tego, że tak bardzo zajęty
byłem Alreską, śniłem tylko mglisto
o niej. A teraz, w czasie widzeń się
naszych w hotelu i w kościele św.
Idziego, w najniewinniejszy sposób
spętała mnie okowami, których bynaj-
mniej strząsnąć już nie pragnąłem...

Była to zuchwałość z mojej stro-
ny. Szczerze sobie przyznawałem, że
to była zuchwałość. Byłem sobie młody doktorek,
niczem tak dalece nie różniący się od innych podo-
bnych. A ona była cudowna istota, taka, jakiej hold
oddają monarchowie i świat cały... Ale to przecież
nie zmieniało postaci rzeczy i ja się w niej kocha-
łem. Bo ostatecznie była kobietą, młodą kobietą.
I ona mnie się radziła! I pozwoliła mi usłużyć so-
bie! A parę miesięcy temu w Londynie, czyż nie
pozwoliła mi mówić do siebie swobodnie i szczerze?
Cudna, jedyna, niezrównana młoda dziewczyna prze-
cież była, mimo wszystko i pewien byłem, że serce
dziewczęce ma w piersi.

A jednak była to zuchwałość... Przypomniałem
sobie to sławne jej narzeczeństwo z lordem Cla-
renceux, którym się interesował cały wielki świat.
Często o tem rozmyślałem. Czy też ona go kocha-
ła — czy naprawdę go kochała? A może tylko
schlebiała jej jego miłość, tak że wmówiła w sie-
bie, że sama go kocha? Toż ona prawdopodobnie
widziałaby różnicę pomiędzy mną a tym sławnym,
bogatym, utalentowanym arystokratą?

(Ciąg dalszy nastąpi).